

Wywiad

My home is my castle

Z p. profesor Krystyną Sip, nauczycielką języka angielskiego rozmawiają
ucz. kl. 2e: Magdalena Szafer, Anna Rządewska i Małgorzata Oręziak.

Dlaczego zdecydowała się Pani pójść na anglistykę?

Studiowałam na anglistyce, ale nie była to taka decyzja, że po liceum postanowiłam „Idę na anglistykę”. Jako uczennica czwartej klasy liceum (bo wtedy liceum było czteroletnie) wzięłam udział w Olimpiadzie Języka Polskiego i udało mi się na tyle dobrze ją napisać, że dostałam możliwość studiowania na różnych wydziałach humanistycznych Uniwersytetu Warszawskiego, ale też na innych uczelniach. To był dramatyczny moment wyboru. Interesowałam się prawie każdą dziedziną wiedzy, więc bardzo bałam się momentu „dookreślenia”. Długo po prostu nie wiedziałam, co robić. W końcu zdecydowałam się na studia, które dawały mi możliwość „rozejrzenia się”, czyli wydział (obecnie kolegium) Międzywydziałowych Indywidualnych Studiów Humanistycznych na Uniwersytecie Warszawskim. Byłam, zdaje się, czwartym rocznikiem, który się tak uczył. Sami układaliśmy sobie plan, musieliśmy zrealizować minimum programowe, ale biegało się na różne wydziały. Najlepiej czułam się w obszarach literatury, najbardziej interesował mnie teatr (studiowałam też na Akademii Teatralnej, obec-

nie Wyższa Szkoła Teatralna). Ze względów praktycznych do listy wydziałów dopisałam także filologię angielską.

A dlaczego wybrała Pani akurat pracę w szkole?

Chyba nie miałam innego wyjścia, bo moja mama jest nauczycielką języka polskiego w liceum. Wydaje mi się, że zawsze miałam taką belferską naturę. Pouczanie innych i mądrzenie się zawsze miało dla mnie dziwny urok... Potem chciałam być archeologiem, kosmonautą, piratem itd. Nauczycielką zostałam z powodów praktycznych. Skończyłam studia, pouczyłam trochę w przedszkolu, ale wolę pracować z dojrzałszymi ludźmi, którzy wiedzą, po co się uczą języka. Zdecydowanie mniej chcę się opiekować, a bardziej współpracować z solidnym partnerem jakim powinien być taki prawie dorosły człowiek.

A nie miała Pani jakiś planów, aby wyjechać z kraju? Zostać tam na stałe?

Wcześniej może mogłam mieć. Może byłam za mało odważna. Z czasem już nie za bardzo miałam możliwość realizacji najbardziej szalonych planów. Może w przyszłości nad tym pomyślę... Na razie tak mi się potoczyły lo-

sy, że pracuję w szkole w Polsce i jest mi z tym dobrze.

Ma Pani może jakieś swoje ulubione słówko po angielsku?

Takim fajnym słowem jest na przykład (co znamienne!) takie słówko „literature”, ale ja generalnie lubię słowa angielskie za ich dźwięk. Za taką frajdę, gdy się opanuje sposób wymawiania. Cały „aparatus” inaczej pracuje, gdy mówimy w obcym języku.

Czy według Pani warto czytać literaturę obcojęzyczną? Jeśli tak, to dlaczego?

W oryginale? Uważam, że naprawdę warto. Jeżeli tylko człowiek ma mniejszą czy większą (tym lepiej) możliwość rozumienia języka obcego, to należy z tego korzystać. Ja wierzę w to, że właściwie literatura zasadniczo jest nieprzetłumaczalna, tzn. że można próbować, można się starać. Czasami powstają dzieła kongenialne, czyli takie, które są równej wartości, może się zdarzyć, że nawet większej wartości, niż oryginał. Podobno mówi się tak o „Kubusiu Puchatku”, który przetłumaczony przez panią Irenę Tuwim dla polskiego czytelnika, znaczy często więcej niż oryginał dla Anglika.

Dokończenie na s. 4

My home is my castle

Dokończenie ze s. 4

Tak naprawdę każdy język wytworzył dzieła w tym języku specyficzne tylko dla niego. Czytanie tego samego wiersza w oryginale i w tłumaczeniu, czy tłumaczeniach, to właściwie obcowanie z kilkoma różnymi dziełami literackimi. Dlatego, jak się chce poznać np. Szekspira – naprawdę wiedzieć, co napisał – to trzeba przeczytać i zrozumieć JEGO słowa, a nie tekst tłumacza.

Jakie książki poleciłaby Pani licealistom, do czytania po angielsku?

Jak zawsze, to rzecz gustu. Klasykę - Jane Austen, może być dobra na leniwe wakacje. Terry Pratchett jest zabawny i inteligentny. Z tego co słyszę, kiedy rozmawiam z uczniami, to czytacie często sami, wyszukujecie naprawdę dobre rzeczy, macie świetne pomysły, wiecie co czytać. Od zupełnie dorosłych ludzi różni was między innymi to, że macie troszeczkę więcej czasu dla samych siebie, a mieszkając w stolicy europejskiego państwa macie także dostęp do najświeższych rzeczy w kulturze. Świat się dzieje wokół was, wystarczy się na niego otworzyć.

Którego pisarza i/lub poetę Pani najbardziej ceni?

To zależy w dużym stopniu od nastroju. Uwielbiam czytać prozę J. M. Rymkiewicza (choć może nie wypada...) Lubię też poezję, przy której trzeba zara-

zem czuć i myśleć. Z tej angielskiej, poezję metafizyczną, barok, w polskiej nawet księdza Bakę. To był taki pozornie zabawny i nieporadny grafoman, a w rzeczywistości bardzo celny komentator rzeczywistości... Może ta "zabawowość", płochość formy to tylko maska? Bo treść bywa u niego bardzo trafna obserwacją świata... to jest tylko jakaś maska. Właściwie, co jakiś czas spotykam jakichś poetów, którzy ni stąd ni zowąd pojawiają się w moim życiu. Na przykład pewnego razu, w pięknych, studenckich czasach razem z koleżanką jechałyśmy autostopem przez Anglię i spotykałyśmy wyłącznie przedstawicieli wolnych zawodów, np. podwiózł nas weterynarz (jako przedstawiciel medycyny), był pan, który wyglądał jak Ernest Hemingway w wielkim samochodzie typu kombi, zdarzył się młody poeta, który nam wcisnął swoje tomiki wierszy, bo właśnie jechał na jakiś odczyt. W końcu nawet facet, który przyznał się, że żyje z przemytu dzieł sztuki zza granicy. Thrilling experience! Takie były moje przygody z czasów studenckich i chętnie bym do nich wróciła.

Czy często odwiedza Pani Anglię?

Ehh, żałuję, ale dawno tam nie byłam.... W ogóle jak pierwszy raz pojechałam do Anglii (w drugiej klasie liceum, do szkoły językowej - polecam!), to wcale nie

był Londyn, tylko Bath - miasto, miasteczko w Starej Anglii, bardzo piękne miejsce. W Bath są naturalne gorące źródła, zresztą już przez Rzymian obudowane i przerobione na kąpieliska. Potem, na drugim roku studiów po raz pierwszy pojechałam do Londynu, ale to był luty i było paskudnie. A potem zaczęłam jeździć do Long Melford - to jest taka nieduża miejscowość w hrabstwie Suffolk, na północny-wschód od Londynu. Jest tam wiejska posiadłość należąca kiedyś do pewnej arystokratycznej rodziny. Już od 40 lat urządza się tam rekonstrukcje historyczne życia w renesansowym dworze angielskim. Świetna zabawa szczególnie dla tych, co marzą o podróżach w czasie!

Co Anglicy mają takiego w sobie, co się Pani w nich podoba?

Od razu przychodzi mi do głowy: wszystko (śmiech). Może to przesada, na pewno mają wiele wad. Lubię tę ich starą zasadę, „my home is my castle”. To nie brzmi ładnie, bo właśnie nasza wylewność i serdeczność jest miła i chwalona, ale ja naprawdę lubię się czasem zaszyć w domu i stamtąd, znad filiżanki herbaty z odrobiną mleka patrzeć na świat. Lubię tę angielską „flegmę”, spokój, stonowanie, które są faktem, mimo że teraz mówi się, że Anglicy ostatnio bardzo zmieniają się kulturowo i stali się bardzo hałaśliwi... Jak przyjdzie co do czego, Anglicy szanują prywatność i święty spokój bliźnich

Dokończenie na s. 5

My home is my castle

Dokończenie ze s. 5
i to mi się w nich najbardziej podoba.

A była Pani gdzieś za granicą oprócz Wielkiej Brytanii?

Nie wystawiłam jeszcze nosa poza Europę. Pierwszy raz za granicą byłam dopiero, gdy miałam 13 lat, wtedy dopiero zaczęto wydawać paszporty zwykłym zjadaczom chleba - pojechaliśmy z rodzicami do Włoch i jak wracaliśmy, w radio słyszeliśmy jak Tadeusz Mazowiecki otwiera pierwsze obrady Parlamentu, takiego normalnego, demokratycznego. To był przełomowy moment, a dla nas symboliczny także dlatego, że po raz pierwszy korzystaliśmy wtedy z wolności podróżowania. Potem, jak miałam 15-16 lat pierwsze zagraniczne wycieczki szkolne do Paryża i Pragi czeskiej. Później troszeczkę jeździłam na takie wycieczki na wschód śladami Wieszców. Byłam na Białorusi, Litwie i Ukrainie. W Rosji byłam dlatego, że moja mama jako nauczycielka prowadziła wymianę z tamtejszą młodzieżą - i wtedy udało nam się pojechać do Petersburga. Jeszcze jakieś Brno, Wiedeń czy Bratysława. W sumie jestem podróżniczką raczej zaściankową...

Miała Pani jakąś styczność z innymi językami obcymi? Zna Pani jakieś inne języki?

W szkole uczyłam się rosyjskiego przez 4 lata. W liceum miałam język francuski i łacinę (poza angielskim). Poza tym bardzo lubię słuchać utworów czeskiego barda Jaromira Nohavicy, więc chwytam czeski. Jest świetnym przykładem bezsensowności tłumaczeń literackich. Sto razy lepiej starać się zrozumieć oryginał niż szukać tłumaczeń.

Jakie są Pani zainteresowania?

Uwielbiam chodzić! Wzdłuż i wszerz. Lubię zwiedzać na piechotę zarówno miasta jak i dzikie ostępy...

Wspominałam o szkole teatralnej, ale to się wiązało też z tym, że w czasie studiów byłam członkinią studenckiej, anglistycznej grupy teatralnej. Grupa nazywała się „The Cheerful Hamlets”. Graliśmy, urządzaliśmy też ogólnopolski festiwal teatrów studenckich w języku angielskim. Ja się głównie zajmowałam scenografią, raz też zagrałam np. mur w „Śnie nocy letniej” (śmiech). Otarłam się o teatr i bardzo mile to wspominam. Niestety, nie mogę powiedzieć, że jestem zjadłym widzem teatralnym, ale uwielbiam teatr od strony sceny. Strasznie. To jest metafizyczne przeżycie. Są trzy rzeczy, które pachną identycznie: scena teatralna (w porządnym teatrze drewniana), smołowana łódź i stary, drewniany kościół. I ta wspólnota zapachów

jest znacząca! Relaksuje mnie i cieszy także bawienie się w odtwórstwo historyczne, które uważam, że powinno być zrobione bardzo starannie i uczciwie wobec osób, które oglądając naszą „grę” bawią się i uczą o przeszłości.

Czy lubi Pani słuchać muzyki? Ma Pani ulubionych artystów współczesnych lub z dawnych lat?

Muzyka jest dla mnie ważna, to jeden z dowodów (jeśli ktoś ich potrzebuje) na istnienie Spraw, o których nie śniło się filozofom... Chodzi o tę harmonię. Tytuły i nazwiska nie są tu istotne. Tak jak z literaturą - wszystko zależy od nastroju...

Skoro mówimy o muzyce, to należy też wspomnieć o filmach. Ma Pani jakieś ulubione?

Moim ulubionym filmem (i ma to dużo wspólnego z muzyką) jest film „Pociąg” Jerzego Kawalerowicza.. Bardzo pięknie i precyzyjnie opowiedziana historia psychologicznych rozterek, dramatu uczuciowego z domieszką kryminału. Do tego genialna wokaliza Wandy Warskiej do muzyki Krzysztofa Komedy! Innym filmem godnym polecenia, także ze względu na muzykę Michael'a Nyman'a, jest „Fortepian” Jane Campion. Obejrzyjcie koniecznie i dajcie znać, czy wam też się podobał!

Dziękujemy za udzielenie wywiadu.